

## Przegląd amerykański (VIII)

Jeszcze o konserwatystach w XXI wieku, w środku liberalnego świata

Jacek Koronacki

### Przeciwko ideologii postępu

Symposium na temat *Konserwatywny uczyony-humanista w XXI wieku* („Modern Age”, 1/2000), o którym była mowa w poprzednim przeglądzie (ARCANA 6/2000) i przy którym wypada jeszcze pozostać, z natury rzeczy musiało być swego rodzaju konfrontacją z ideologią postępu. Profesor George Carey, jeden z grona tzw. *associate editors* kwartalnika, oparł swój wywód na myśli Edmunda Burke’a. Ów ojciec współczesnego konserwatyzmu wiedział, że rewolucja francuska żywiła się różnymi prądami radykalnej myśli oświeceniowej i że uderzyła w same fundamenty cywilizacji Zachodu. Wiedział, że jej siłą napędową nie była chęć odwetu na królu i monarchii, lecz to co dziś nazywamy ideologią, a więc taki twór ludzkiej myśli, który zawiera w sobie odpowiedzi na wszelkiego rodzaju pytania o naturę człowieka oraz jego miejsce w porządku wszelkiego bytu. Nic innego lecz ideologiczne zaślepienie przywódców rewolucji wyzwoliło w człowieku najciemniejsze instynkty i sprowadziło na Francję najstraszliwsze cierpienia.

*Wielu współczesnych autorów dostrzegło, pisze Carey, że to co dziś uznajemy za ideologię rewolucji francuskiej, legło -- choć na nieco różne sposoby -- u podstaw totalitarnych reżimów XX wieku. [...] Bez wątplenia najważniejszą misją konserwatyzmu w XX wieku było sprzeciwienie się na międzynarodowej arenie siłom, które trafnie zidentyfikował Burke. [...] Ideologia, którą zwalczał swoim słowem, jest nadal wśród nas. **Jak dobrze wiemy, jest szczególnie dobrze osadzona na wyższych uczelniach, ale ma się też bardzo dobrze wśród kulturalnej elity.** Rzecz jasna, nie ma już tej surowej, bezkompromisowej i groźnej formy reprezentowanej niegdyś przez sowieckich przywódców. Jej praktycy przystosowują swoje apele do obowiązującego kontekstu politycznego, licząc na stopniową realizację swoich celów, często w drodze kompromisu.*

*Oświeceniowa ideologia tak dokładnie przeniknęła naszą kulturę, że jej niektóre zasady stały się niekwestionowanymi składnikami społecznego i politycznego pejzażu. W konsekwencji, istotne aspekty tej ideologii zostały milcząco zaakceptowane przez dużą część społeczeństwa. [...] Pod wieloma względami ideologia postępu stała się jak powietrze, którym oddychamy. Jest tajemnicą dlaczego tak się stało.*

*Jednym z pierwszych przywódców narodowych, którzy zaszczepili elementy oświeceniowych nauk w amerykańskim otoczeniu politycznym był Thomas Jefferson. W liście do Jamesa Madisona z września 1789r. pisał: „ziemia zawsze należy do żyjącego pokolenia”. Według Jeffersona społeczeństwo było sukcesją odrębnych i suwerennych generacji. Taki pogląd był doskonale przeciwny myśli Burke’a, dla którego społeczeństwo było partnerstwem we wszystkim, w nauce, sztuce, cnocie i doskonaleniu się wszystkich, tych którzy żyją, którzy już umarli i którzy dopiero się narodzą. Ta potrzeba ciągłości była prostą konsekwencją tego, że nawet wiele pokoleń to za mało, by osiągnąć cele owego partnerstwa. Stąd też tak wielkie znaczenie przypisywał Burke zwyczajowi i przesądom, czy raczej przed-sądom, nie skodyfikowanej mądrości pokoleń. I stąd wreszcie był wrogiem wszelkiej nagłej i częstej*

zmiany. Zerwanie więzi międzypokoleniowych uczyniłoby ludzi podobnymi muchom, które pojawiają się i znikają każdego lata.

Te dwa prądy, postępu oraz zmiany opartej o wymyślony projekt z jednej strony oraz naturalnej ciągłości zakorzenionej w obyczaju i tradycji, współzawodniczyły w Ameryce od jej początków. Pierwszy prąd uosabiał Jefferson, drugi doceniał Aleksander Hamilton i żyła nim mniej znana większość Ojców Założycieli.

*Podkopywanie tradycyjnego ładu społecznego i politycznego – kontynuuje Carey -- które w rudymenarny sposób rozpoczął już Jefferson, nabrało tempa i spójności w wieku XIX i XX. Najłatwiej to zilustrować zaglądając do Johna Rawlsa „Teorii sprawiedliwości”, pracy, która odgrywała istotną rolę w liberalnych kręgach akademickich w latach siedemdziesiątych. [...] Krótko mówiąc, osią książki jest obrona tezy, iż zasadniczym elementem „sprawiedliwości” jest równość, tak materialna jak każda inna. Według samego Rawlsa, „wszystkie podstawowe dobra społeczne – wolność i szansa, dochód i bogactwo, podstawy szacunku do samego siebie – powinny być równomiernie rozłożone, chyba że nierówna dystrybucja niektórych z tych dóbr lub ich wszystkich byłaby korzystna dla najmniej uprzywilejowanych”.*

Nie trzeba zbyt wiele przenikliwości, by zdać sobie sprawę, że taki program wymaga konsekwentnej centralizacji państwa, stałego powiększania jego kompetencji kosztem wolności jednostki. Amerykańscy rzecznicy postępu wiedzą o tym dobrze od początku XX wieku. [...] Herbert Croly, „ojciec” zarówno nowoczesnego amerykańskiego progresywizmu jak i Nowego Ładu, podkreślał konieczność centralizacji, jeśli postępowe cele miały być osiągnięte. Według niego, Ojcowie Założyciele dali Ameryce „niepełną demokrację”, która czyniła rząd ciałem biernym i niezdolnym do skutecznego działania na rzecz jakiegoś „konstruktywnego narodowego celu”. Prof. Carey przypomina, że Croly, w swoim wydanym w roku 1911 opus magnum, „Obietnica amerykańskiego życia”, ostro krytykował Jeffersona jako tego, który „chciał osiągnąć egalitarne i nawet socjalistyczne cele za pomocą zasadniczo indywidualistycznych środków”.<sup>1</sup> XX-wieczni zwolennicy postępu dobrze już wiedzieli, że potrzebują państwa onnipotentnego, zdolnego kontrolować swoich obywateli od kolebki. To dlatego, trafnie stwierdza prof. Carey, **potrzebna była powszechna edukacja w publicznej szkole według państwowego programu nauczania, i dlatego niezbędne było podjęcie walki z instytucją rodziny oraz z religią.** Nie przypadkiem „dowiadujemy się” dzisiaj, że molestowanie dzieci w rodzinie osiąga zbyt duże rozmiary i że dzieci więcej się mogą nauczyć w przedszkolu niż od matki w domu.

Prof. Carey uważa, że **misja konserwatystów sprowadza się w tej sytuacji do niestrudzonego przestrzegania społeczeństwa przed prawdziwymi celami progresywizmu** (który w latach sześćdziesiątych spotkał się w Ameryce z liberalizmem). W podobnym tonie pisze w ramach tego samego sympozjum prof. Stephen Tonsor, inny *associate editor* kwartalnika, ale dodaje, że państwo powinno sprzyjać podniesieniu roli religii w społeczeństwie, zarazem dochowując ścisłego rozdziału między państwem i kościołami, powinno wrócić do realizacji zasady pomocniczości, a to dziś znaczy skończyć z praktyką państwa opiekuńczego, wycofać się z rządzenia szkołą oraz wspierania kultury. Ameryka powinna też porzucić rolę imperialnego żandarma świata.

Jednocześnie prof. Tonsor precyzuje swój pogląd: *Oczywiste jest, że między konserwatyzmem i libertarianizmem istnieje jasny podział. Społeczeństwo polityczne ma interesy szersze i bardziej odpowiedzialne niż interesy egoistycznego indywidualizmu. Sama prywatyzacja nie jest kluczem do dobrego, czy chociaż w minimalnym stopniu funkcjonującego społeczeństwa.*

*W większości przypadków dobrobyt ogółu jest ważniejszy niż dobrobyt jednostki. Państwo powinno zawsze działać w taki sposób, by wprowadzane przezeń podatki sprzyjały rozwojowi wspólnotowych i jednostkowych inicjatyw w dziele pomocy charytatywnej, inicjatyw na rzecz eliminacji biedy oraz rozkwitu pulsującej życiem kultury.*

### **Konserwatyści o badaniach nad językiem i literaturą**

Profesor Carey słusznie boleje nad tym, że postępową ideologia stała się jak powietrze, którym oddychamy. Ale to w ostatecznym rozrachunku oznacza, że zawładnęła językiem. Intelktualista ma w tym kontekście obowiązek przyjrzenia się nauczaniu języka oraz nauce o nim, a zatem filologii i językoznawstwu. W ramach sympozjum tematyce tej swoje eseje poświęcili Christian Kopff oraz Stephen Tanner.

*Władze – pisze pierwszy z nich – obsesyjnie interesują się przemysłowymi zanieczyszczeniami wody, ziemi i powietrza. A przecież nigdzie nie są to zanieczyszczenia tak drastyczne jak w przypadku języka, jakim się na co dzień posługujemy. Użyteczne stare słowa znikają ze słownika naszych uczniów. Słowa, które pozostają, używane są w sposób opaczny i niedbały. Oczywisty brak logiki i błędy gramatyczne docierają do nas z ekranów telewizorów i pierwszych stron gazet. Równocześnie maleje liczba studentów i nauczycieli zajmujących się językiem. [...] Władze uczelniane z determinacją zachęcają studentów do nauki wąsko pojmowanych zawodów, okraszając zajęcia atrakcyjnie prowadzonymi wykładami z nauk społecznych i fizycznych.*

*[...] Obiecuje się nam świat monokultury, w którym te same książki, filmy oraz piosenki są czytane, oglądane oraz śpiewane jak świat długi i szeroki. Ludzie na dobrze płatnych stanowiskach będą zajmować się komputerami, przestrzenią kosmiczną i biotechnologią. Reszta będzie dostarczać pizzę i uśmiechać się do klientów w hipermarketach Wal-Martu i restauracjach McDonalda. Na niektórych niemieckich uniwersytetach już dziś fizyki i ekonomii naucza się po angielsku. Oczywistą implikacją konstruktywnych propozycji Ala Gore'a z jego książki „Ziemia w stanie równowagi” jest stwierdzenie, że wspaniała różnorodność systemów ekologicznych na naszej planecie może się ziścić wtedy tylko, gdy cała ludzkość nauczy się zachowywać w ten sam sposób. Musimy zdławić różnorodność ludzkich kultur, jeśli uratowana ma być różnorodność świata natury.*

Język jest sercem kultury, dodaje Kopff, i nie dziwi się przeto jednoczesnemu upadkowi obydwu. Oskarża natomiast współczesne językoznawstwo o wprowadzenie do humanistyki radykalnego programu oświeceniowego, nie do przyjęcia dla filologa, nauczyciela i badacza języka, tekstu oraz gramatyki, który ma za swoją misję – od Zenodota i Arystarcha, od Kwintyliana i sir Thomasa Elyota, i od tysięcy innych – narzucanie językowych wzorów chronionych przez tradycję. Język jest [dla filologa] jednocześnie fizyczną formą i duchową substancją, zaś docenianie i smakowanie tej jedności w wielości jest wyłącznie ludzką domeną. Dlatego Kopff pisze też, że języki są tradycjami. Język mówi o człowieku, takim jakim go zawsze widziała tradycja -- jako jedność ciała, umysłu i ducha, której to złożonej jedności odrzucenie jest tym co C.L. Lewis nazwał obaleniem człowieka. Tylko tak pojmując język można wypowiadać o nim sądy wartościujące, do czego nie jest zdolny współczesny językoznawca. Tylko wówczas można odróżnić celną innowację językową od poronionej. Co więcej, tylko wówczas można zdobywać samemu i przekazywać kolejnym pokoleniom wiedzę o pięknie, bogactwie i złożoności języka, o mileniach człowieczego opisywania świata i siebie, a zatem o języku, który przez całą historię służy przekazywaniu wysokiej kultury.

Tymczasem *kluczowym artykułem wiary programu oświeceniowego jest teza, iż pozwolenie fizycznemu światu pójść tam dokąd prowadzą go naturalne siły prowadzi do większej złożoności i większego bogactwa. Zwolennik takiego programu znajduje potwierdzenie swej obserwacji w ewolucji świata biologicznego i wzroście dostatku niesionym przez globalny wolny rynek. Nie chce zauważyć, że -- odniesione do języka -- jego obserwacje prowadzą na manowce. Przecież pozostawiony samemu sobie, język ulega degeneracji. Staje się prostszy, a nie bardziej złożony. Jego zdolność wyrażenia ludzkiej emocji lub myśli maleje, a nie wzrasta. Maleje zdolność rozróżniania. W końcu język ulega rozkładowi, a ludzie, którzy kiedyś mogli się między sobą porozumieć tracą tę zdolność.*

**Naczelnym zadaniem jest w tej sytuacji,** powiada Kopff, **niewzruszone rozwijanie klasycznie rozumianej filologii.** Jego tezy rozwija Stephen Tanner, zastępując nieco poetycki język kolegi konkretem odniesień do postmodernistów (oraz do myśli Saussure'a, z której czerpał poststrukturalizm). Cytując prof. Tannera tak można podsumować jego wywód:

*Jeden z postmodernistycznych prądów wprowadza rozbrat między literaturą i krytyką z jednej strony oraz życiem z drugiej, usuwając łączniki wiążące słowo i świat, i traktując słowo raczej jako cel niż środek. **Takie rozłączenie słowa i świata pozbawia zarówno literaturę jak i życie podstawy, na bazie której można by różnicować idee, cele lub działania.** Drugi z głównych prądów postmodernizmu jest agresywnie etyczny i polityczny, często wojowniczo ideologiczny. Przekonany o swej racji opowiada się za zsekularyzowaną poprawnością, która zgodnie z jego własną teorią jest społeczną konstrukcją nie osadzoną na żadnym fundamencie, który mógłby usankcjonować jakiegokolwiek wzorce i rozróżnienia.*

Postmodernistyczna radykalna niezgoda na klasyczną ontologię i epistemologię, uznanie dążenia do prawdy za pozbawione sensu oraz uwięzienie człowieka w języku, „który go myśli”, inne tezy tego modnego na uczelniach kierunku, wszystko to jest zbyt dobrze znane, by się rozwodzić nad odnośnymi analizami prof. Tannera. Wszakże warto chyba powtórzyć takie jego obserwacje. Po pierwsze, to dobrze, że *postmodernizm zmusza nas do weryfikacji naszego rozumienia prawdy. [...] Ta jest złożona i nigdy dość rozważania czym jest i jak ją możemy poznawać [...].* Konserwatywny uczyony musi pamiętać, że *iluzją jest zarówno dostęp do prawdy ostatecznej jak i możliwość doskonale bezstronnego postrzegania. [...] Pewna dawka postmodernizmu może nam być pomocna, jeśli potrafimy zapominać to, co mądre umysły wszystkich wieków dostrzegały nim przyszło nam usłyszeć melodramatyczne enuncjacje postmodernistów.*

Po drugie koniecznie musimy pamiętać, że w swoich najlepszych przejawach konserwatywna krytyka literacko-kulturalna nie miała swej teorii ani ograniczającej ją metodologii. [...] *Znała prawdę tak wyrażoną przez Iwana Turgieniewa w liście do Lwa Tolstoja: „Ludzie, którzy wiążą się systemami, to ci, którzy nie są zdolni ogarnąć całej prawdy i próbują ją łapać za jej ogon; a ta zostawia ogon w twoich palcach i ucieka dobrze wiedząc, że ogon odrośnie w mgnieniu oka”.* Narzędziami konserwatywnej krytyki są: gotowość do nieuprzedzonego badania, umiejętność rozróżniania oraz zdolność osądu, czyli jakości umysłu umykające systematyzacji. Umysł i wyobraźnia krytyka są ważniejsze niż teoria i metoda. Ścisłość teorii i metody nigdy nie skompensuje braków umysłu i wyobraźni. Jednym z głównych grzechów dużej części współczesnych teorii jest arogancka pewność, iż mogą się obyć bez odwołania do doświadczenia; okrucieństwo idei polega na założeniu, że człowieka można do nich dopasować. Tymczasem prawdziwym darem sztuki jest szczególny sposób, w jaki przechodzi do ogółu od indywidualnie doświadczonej iluminacji. Stąd zaś wynika, że konserwatywny uczyony nie powinien zwalczać teorii budując inną teorię. Jego prawdziwa siła

*tkwi w pokornym uznaniu roli doświadczenia, które nigdy dokładnie nie odpowiada żadnemu teoretycznemu programowi. Literatura dostarcza nam wiedzy nie o schematach teorii, lecz o nas.*

W odpowiedzi na postmodernistyczną ucieczkę przed sądem wartościującym – postuluje Tanner – mówmy: zacznijmy od jasnych rozróżnień. Krytyka postmodernistyczna obfituje w słowa-klucze, które uniemożliwiają czynienie dalszych dystynkcji. *Udając, że wyjaśniają wszystko, wiele terminów dzisiejszej teorii literatury nie tylko nie wyjaśnia niczego, ale same te terminy pozostają nie wyjaśnione. [...] Co więcej, niektóre słowa z postmodernistycznego leksykonu są tak używane, by celowo zerwać z ich znanym nam znaczeniem. Na przykład „rzeczywistość” pisana jest w cudzysłowach, by z pojęciem, które oznacza, związać zwątpienie; do dyskursu wprowadza się jednocześnie teorie i metody w nikłym tylko stopniu lub wcale nie sprawdzone empirycznie. Albo też znane słowa używane są do wprowadzenia nowych pojęć, by w ten sposób zamienić krytyczną dyskusję w chaos. [...] Przejście od literackiej „pracy” do „tekstu” było nadużyciem o moralnych konsekwencjach. Zniknął autor – ludzie już nie piszą tekstów, lecz teksty piszą teksty. Z literackiego dzieła zniknął ludzki podmiot – autonomiczna dusza – zaś literaturze odebrany został walor moralny, nie do pomyślenia bez fundamentu, na którym można by budować odpowiedzialność i osąd.*

Obowiązkiem i nadzieją konserwatywnego badacza jest przechowanie przywiązania do tęsknoty za prawdą oraz wierność tradycyjnym kanonom studiów nad literaturą.

### **Podsumowanie sympozjum**

Faktycznym podsumowaniem sympozjum jest znakomity esej Jamesa Kalba, który ukazał się w późniejszym numerze kwartalnika („Modern Age”, 3/2000). Esaj wart jest przedrukowania w całości, w tym zatem miejscu pozwalam sobie przytoczyć jego niektóre tezy jedynie w telegraficznym skrócie:

- *Zniknięcie radykalnej lewicy jest znakiem, iż zrealizowała swoje wszystkie dające się osiągnąć cele.*
- *Ogromną siłą liberalizmu okazała się jego zdolność przekonania ogółu, że do zgodnego współistnienia wystarcza zaakceptowanie paru formalnych zasad, jak równość i własność prywatna, choć jest to nieprawda.*
- *Źródłem wszelkiej siły współczesnego liberalizmu jest jego umiejętność użycia nowych metod dominacji nad społeczeństwem, które w większym stopniu polegają na homogenizacji i centralizacji życia społecznego, zniszczeniu niezależnych instytucji oraz moralnych zwyczajów, niż na fizycznej represji.*
- *Stworzywszy zamknięty system moralny, liberalizm unieważnił wszelką transcendencję i uczynił człowieka panem wszystkiego, co prawda beznadziejnie zanurzonym w procesie permanentnej społecznej transformacji w imię zmieniających się pragnień. Ale to czyni liberalizm pustym i bez sensu. W imię dostarczenia nam czego pragniemy, liberalizm odmawia nam wszystkiego co warte posiadania. Zarazem nadaje sobie charakter religii, wszakże nie mającej szansy na przyjęcie.*
- *Liberalizm nie niszczy jeszcze nikogo fizycznie – jeżeli pominąć Serbów, nie narodzone dzieci i w coraz większym stopniu starców oraz ludzi nieużytecznych – ale jest jednym z tych nowoczesnych ruchów politycznych, które są przeciw ludzkiej naturze.*
- *Będąc w ostatecznym rozrachunku zbudowany na fałszywej ontologii człowieka, liberalizm jest skazany na zmierzanie ku totalitarnej tyranii. Liberalizm zaprzeczył*

*swoim zasadom – zamiast pozwolić społeczeństwu kontrolować państwo, ów bardziej ambitny liberalizm czyni państwo kontrolerem społeczeństwa.*

Liberalny porządek społeczny zostanie w końcu zastąpiony innym, tak jak skończył się komunizm, choć nie wiadomo jak długo będzie jeszcze trwał i co nastąpi po nim. Wiadomo jednak, że nowy porządek będzie jakoś zależał od obecnej siły konserwatywnego trwania po stronie ładu chrześcijańskiego. I wiadomo, jak choćby ilustrują to dalej podane przykłady, ile zła, kłamstwa i absurdu przynosi każdy dzień.

### **Nie nazwana Zagłada**

Na początku tego roku prezydent Bush wstrzymał pomoc federalną dla grup promujących za granicą aborcję. „Washington Post” zmartwił się, że to krok *siejący niezgodę* między obu amerykańskimi partiami, krok który będzie miał *brzydkie* konsekwencje. Jak wielkiego pomieszania języków potrzeba, jak wielka musi być moralna degeneracja, by możliwe było takie ujmowanie problemu zabijania nie narodzonych?

Sobran, niezależny publicysta którego najbardziej cenię i najczęściej cytuję, przypomina słynny esej Orwella „Polityka i język angielski”, w którym autor analizuje jak nieuczciwie uprawiana polityka wpływa na język i sposób myślenia. *Nie ma lepszego przykładu niż aborcja – pisze Sobran – na opisanie tego zjawiska.*

*Chociaż aborcja – nie wyłączając zabijania zdolnych do życia dzieci na progu ich narodzin – jest dzisiaj sakramentem Partii Demokratycznej, nikt nie przyznaje się do bycia jej zwolennikiem; każdy z nich jest zwolennikiem „prawa do wyboru”. Jest to oczywiste kłamstwo. [...] Dziecko, płód, embrión, czy jak nazwiecie byt wzrastający w łonie matki, nie ma żadnego wyboru czy zostanie czy nie zostanie zabity.*

Zwolennicy aborcji bronią się, iż nikomu nie każą dokonywać aborcji, a jedynie bronią prawa matki do wyboru jej losu. „Jesteś przeciw aborcji? No to jej nie dokonuj”, mówią. Tylko, że na tej samej zasadzie, zwraca uwagę Sobran, można było bronić niewolnictwa – nie chcesz mieć niewolnika, to go nie miej, a jeśli chcesz, to twoja sprawa (i niewolnika, ale obrońcy niewolnictwa uznawali go za tak samo nieistotny element „sprawy”, jak dziś zwolennicy aborcji uważają za nieistotne nie narodzone dzieci).

A dlaczego zwolennicy aborcji nie mówią o **zabijaniu** płodów, nie używają tego technicznego przecież terminu, wolnego od konotacji etycznych, tak jak wolne od tych konotacji jest mówienie o zabijaniu karaluchów, komarów czy stonki ziemniaczanej? Dlaczego w ich języku aborcja to „zakończenie ciąży”, a dokonujący jej lekarz to w anglojęzycznym oryginale „abortion provider”, czyli „dostarczyciel aborcji”, trochę tak jak – ironizuje Sobran – dostarczyciel pomocy humanitarnej? **Już Orwell zauważył, że ludzie nieuczciwi przedkładają abstrakcję nad konkret.** *Abstrakcyjny język pozwala uniknąć wytworzenia się nieprzyjemnych obrazów mentalnych, które mogłyby zrodzić przerażenie lub wstyd. Język konkretny może przypominać co w rzeczywistości robimy.*

*[...] Media są oczywiście po stronie zwolenników aborcji i dlatego operują nieuczciwym językiem tychże zwolenników. Nie trzeba dodawać, że stale też manipulują informacją. Kilka lat temu [wielka sieć telewizyjna] NBC pokazała film przychylnie przedstawiający Normę McCorvey, czyli „Roe” ze sprawy Roe przeciwko Wade<sup>2</sup>, wówczas jeszcze obrończynią nieograniczonego „prawa” do aborcji. Czy, gdy nieco później pani McCorvey stała się*

*aktywną przeciwniczką zabijania nie narodzonych, NBC wyprodukowała ciąg dalszy swego filmu? Oczywiście nie, to byłoby niewyobrażalne.*

A co liberalna indoktrynacja oznacza dla narodu? Według meldunków, jakie amerykańskie ministerstwo zdrowia otrzymuje z placówek legalnie przeprowadzających „zabieg”, od początku lat osiemdziesiątych liczba aborcji dokonanych w ciągu jednego roku zawsze przekraczała 1 200 000, co oznacza ponad 300 aborcji na 1000 normalnych narodzin. Rok po roku. W sumie, w ciągu ostatnich dwudziestu lat Ameryka pozbawiła życia grubo ponad 20 milionów niewinnych istot. I co? I nic – zwolennik aborcji nieomal wygrał ostatnie wybory prezydenckie, zresztą jej zwolennikiem zostawszy wbrew swoim niegdysiejszym poglądom, które zmienił, by dostosować się do obowiązującego postępowego credo. Aktualny prezydent przez długi czas kampanii nie mógł wykrztusić z siebie w miarę jasnego potępienia barbarzyństwa, w obawie przed zbytnim narażeniem się mediom i innym rządcom dusz. Były prezydent mógł zupełnie bezkarnie dwukrotnie zawetować prawo zabraniające szczególnie drastycznej metody zabijania dzieci nie narodzonych, ale zdolnych do życia poza organizmem matki.

Ta ostatnia historia musi zostać trochę szerzej omówiona, jeśli chce się jako tako oddać poziom absurdu i moralnego chaosu, w jakim pogrąża się Ameryka. Po pierwsze chodzi o techniki aborcyjne stosowane w przypadku ciąży 16-tygodniowej lub dłuższej (Ministerstwo Zdrowia oceniało np. w roku 1996, że około 4% aborcji dokonuje się między 16. a 20. tygodniem ciąży oraz około 1,5% w tygodniu 21. lub późniejszym). Sam pomysłodawca wspomnianej szczególnie drastycznej techniki, niejaki dr Haskell, stosował ją w przypadku ciąż liczących 20 do 24 tygodni, ale w pewnych przypadkach także 25 i 26 tygodni. Prawo do aborcji ma matka, której zdrowie jest zagrożone ciążą, co może oznaczać praktycznie wszystko, czyli jest nieomal równoznaczne z aborcją na żądanie.

Kongresowi prawodawcy, których moralne kompasy nie zostały jeszcze zniszczone, od dawna szukają możliwości przynajmniej ograniczenia „prawa” do aborcji. W roku 1995 obydwie izby uchwaliły ustawę zabraniającą przeprowadzania zabiegu pomysłu dra Haskella, nazwanego przez Kongres aborcją przez częściowe narodziny (ang. partial birth abortion; zabieg opisany jest w przypisie, ale niech mi wolno będzie ostrzec Czytelnika, że w istocie jest – bo musi być – przerażający<sup>3</sup>). Ustawa została zawetowana przez prezydenta Clintona, zaś Kongresowi nie udało się prezydenckiego weta obalić. Historia powtórzyła się dwa lata później, gdy ponowną próbę wprowadzenia ustawy w życie podjął Kongres następnej kadencji. W tym samym okresie podobne inicjatywy podjęło 30 Kongresów stanowych, w tym Kongres Nebraski, który zezwolił na stosowanie procedury Haskella wtedy tylko, gdy ta potrzebna jest by ratować życie matki. Ale w tym momencie na scenie pojawili się zwolennicy postępu, sprawa trafiła do Sądu Najwyższego, który 28 czerwca 2000 r., pięcioma głosami przeciwko czterem (sędziów Rehnquista, Kennedy’ego, Scalii oraz Thomasa), orzekł, że ustawa z Nebraski jest sprzeczna z Konstytucją. W ten sposób zamknięta też została droga do wprowadzenia podobnych ustaw w pozostałych 29 stanach. Sąd Najwyższy posłużył się swoim wcześniejszym wyrokiem, który zezwala na aborcję po osiągnięciu przez płód zdolności do życia poza organizmem matki nie tylko wtedy, gdy zagrożone jest matki życie, ale także zdrowie<sup>4</sup>. A Nebraska klauzuli dotyczącej zdrowia nie włączyła do swej ustawy wiedząc, że jest to furta do faktycznie bezwarunkowej zgody na praktykowanie aborcji. Sąd nie uznał też argumentacji Nebraski, iż ta implicite zezwala na stosowanie innych procedur aborcyjnych, ponieważ – zdaniem piątki sędziów – nie zostało to dość jednoznacznie zapisane w ustawie. Piątka sędziów nie przejęła się też podkreśleniem wyjątkowej drastyczności procedury.

Proszę mi wybaczyć tę zbyt długą relację. Ale jak inaczej opisać te wszystkie pokłady absurdu, na których cała historia ograniczania „prawa” do aborcji została ufundowana. Ludzie, którzy wiedzą, że aborcja jest złem uciekają się do absurdalnych chwytów, by doprowadzić do jej absurdalnie nieistotnego ograniczenia<sup>5</sup>, bo uważają, że nie mają szans na więcej. Tymczasem nawet to okazuje się niemożliwe. Inny absurd to onnipotencja państwa federalnego, które nie tylko stanom odebrało wszelką władzę, ale stara się rozciągnąć kontrolę nad każdą sferą życia (dwa przykłady za chwilę). Zaś bezradny lub zniewolony człowiek, pozbawiony autentycznej politycznej wspólnoty, najczęściej zubożniały, przyzwala na niewysłowione zło.

### W oparach absurdu

Sąd Najwyższy uwija się jak w ukropie deliberując na ile religia może wychynąć z kościelnej kruchty. W lecie 2000r. zdecydował, że władze New Jersey bezprawnie uchylily obowiązujący w stanowym harcerstwie zakaz nominowania homoseksualistów na instruktorów. Niedługo potem okazał chrześcijanom mniej zrozumienia i zabronił uczniom publicznej szkoły w Teksasie intonowania modlitwy przed rozpoczęciem meczu w amerykański futbol. Komentatorzy konserwatywni, w tym prawnicy-konstytucjoniści, są zgodni, że przede wszystkim Sąd takimi lokalnymi sprawami nie powinien się zajmować, że tam jego jurysdykcja nie sięga. No i gdyby jednak sięgała, to w drugim przypadku nie sposób doszukać się pogwałcenia Konstytucji. Nawet postępowy „New York Times” przyznał, że akt modlitwy na stadionie szkolnym chyba nie jest sprzeczny z Konstytucją, chociaż oczywiście pochwalił Sąd za wydany wyrok.

O co tu chodzi?? Jakim prawem tolerancja wobec homoseksualistów ma oznaczać **nietolerancję** wobec organizacji od swego zarania opartej o kod moralny wzięty z etyki chrześcijańskiej? Dlaczego wspólne odmówienie Modlitwy Pańskiej ma obrażać czyjąś wrażliwość (możliwość takiej obrazy dostrzegł pewien przedstawiciel Ligi Antydefamacyjnej), a paradowanie homoseksualistów ulicami pod sztandarem Północno-Amerykańskiego Stowarzyszenia Miłości Mężczyzny i Chłopca, stowarzyszenia walczącego o „prawo” do tego co ma w nazwie jest w porządku? Bo takie państwo mają dziś Amerykanie, nieugięte i wszędzie występujące w obronie „praw człowieka”. I jeżeli Sąd przyznał harcerzom prawo do wybierania sobie wychowawców, to od czego Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaopatrzone w rozporządzenie wykonawcze prezydenta Clintona, które – przypomina Sobran -- umieszcza „orientację seksualną” wraz z rasą, religią, płcią, itd., itp. wśród kategorii, którym przysługuje specjalna ochrona w federalnych programach kształcenia? Ano od tego, żeby wszcząć śledztwo czy przypadkiem decyzja harcerstwa New Jersey nie oznacza dyskryminacji homoseksualistów, zabronionej przecież przez samego prezydenta (bo jeśli oznacza, to można będzie odmówić harcerzom federalnych funduszy)<sup>6</sup>.

*Kiedy słyszymy dziś termin „prawa człowieka” -- pisze Sobran – to możemy być pewni, że chodzi o zwiększenie, nie zaś zmniejszenie, prerogatyw państwa, a to jest równoznaczne z kolejnym zamachem na naszą prywatność. [...] Zaś liberalne rozumienie rozdziału kościoła i państwa jest takie, że gdy sfera polityki się poszerza, pole wolności osoby – wolności religijnej i każdej innej – zostaje zmniejszone. [...] Jak kiedyś zauważył C.S. Lewis, współczesny świat czyni religię sprawą ściśle prywatną po to, by następnie ograniczyć sferę prywatności do jej niemal zupełnego zaniku. W innym artykule Sobran konstatuje, że „demokratyczne” kraje w coraz większym stopniu naśladują to co czynił totalitarny komunizm nie pozostawiając dla religii ani kawałka miejsca w żadnej sferze życia.*

Religia jest wypychana z życia przez wszystkie wielkie media, ale nic nie budzi takiej wrogości jak Kościół katolicki. Nieraz już wspominałem o książkowych i gazetowych napaściach na Kościół, najczęściej uznawany za kolebkę antysemityzmu. Pod koniec zeszłego roku tygodnik „Time” dał pozytywną recenzję kolejnej książki, która wedle słów jego recenzenta *stwierdza, iż to chrześcijaństwo, a nie źli chrześcijanie, ponosi winę za antysemityzm.*

*Cóż za oryginalna idea – komentuje Sobran – toż to dopiero bodaj czterdziesta książka, która stawia rzeczoną tezę. Chodzi o Jamesa Carrolla „Miecz Konstantyna: Kościół i Żydzi” (wydawnictwo Houghton Mifflin). Carroll to jeden z tych liberalnych eks-księży, którzy ogłaszają się niezłomnymi katolikami jednocześnie szkalując swój Kościół na każdym kroku.*

*Według recenzenta tygodnika, Carroll w swojej „odważnej” i „fascynującej” książce (jak może takie cechy posiadać książka, która powtarza to co dziś jest twierdzeniem bezpiecznym i powszechnym?) oskarża o antysemityzm i stąd wynikły holokaust papieży, hiszpańską Inkwizycję, wyprawy krzyżowe, św. Augustyna i św. Jana Chryzostoma, Ojców Kościoła, nawet Ewangelistów.*

Właściwie dlaczego nie oskarżył Carroll samego Jezusa Chrystusa, pyta Sobran. Wszak nieraz miał Chrystus na pieńku z żydami, czynił pod ich adresem kąśliwe uwagi. I jeśli Kościół był konsekwentnym przeciwnikiem żydów przez dwa milenia, to przecież musiał jakąś winę za to ponosić sam jego Założyciel. Logiczna to konkluzja, ale wrogowie Kościoła są zbyt sprytni by ją ogłosić. Wolą występować w szatach katolików zatroskanych o skarb „prawdziwej” wiary.

Cywilizowani wrogowie Kościoła promują łagodniejszą wersję katolickiego zła: antysemityzm ograniczony do Polski oraz słynne już rzekome milczenie Piusa XII w kwestii potępienia hitleryzmu oraz prześladowania żydów, a w końcu ich Zagłady. Najważniejszym głosicielem tejże wersji jest bez wątpienia „New York Times”. I oto Sobran, korzystając z cytatów zebranych przez księdza prałata Stefana diGiovanniego w książce „Pius XII i Żydzi: Lata wojny”, przypomina jak o milczeniu Papieża pisał sam „Times”. Gazeta wysoko oceniała każdą papieską krytykę hitlerowskiego, i oczywiście komunistycznego, totalitaryzmu. Dostrzegała wszystkie inicjatywy Piusa XI i potem, od jego powołania na stolicę Piotrową w marcu 1939r., Piusa XII. W czasie pierwszych lat wojny, „Times” widział w słynnych bożonarodzeniowych przemówieniach Ojca Świętego *osamotniony głos krzyczący pośród ciszy kontynentu*. W roku 1940 Pius XII był chwalony za powołanie do Papieskiej Akademii Nauk dwóch uczonych żydowskiego pochodzenia, mimo protestów Mussoliniego. W roku 1942 czytelnicy „Times’a” dowiedzieli się o interwencjach Papieża w obronie francuskich żydów, gdy zaczęły się ich deportacje. I tak dalej i dalej. „Times” opisywał także akcje biskupów oraz duchowieństwa Francji, Włoch i Niemiec w bronie żydów (w przypadku biskupów niemieckich, także w obronie Polaków). Opisywał wynikające stąd prześladowania Kościoła katolickiego. W końcu zaś, gdy Stalin zaczął sobie szykować grunt do podboju naszej części Europy, „Times” bronił Piusa XII przed nagonką sowieckiej prasy, która jeła oskarżać go o sympatie prohitlerowskie<sup>7</sup>.

*Przez długi czas, konkluduje Sobran, liberalowi i katolicy współżyli w Ameryce zgodnie. W wielu sprawach społecznych zajmowali nawet wspólne stanowisko. [...] Wydawało się, że można być jednocześnie liberałem i katolikiem. Większość katolików była zwolennikami Partii Demokratycznej oraz rooseveltowskiego Nowego Ładu, włączenia się Ameryki do II wojny*

*światowej oraz aktywnego powstrzymywania komunizmu w świecie (takie było u zarania stanowisko liberalów w tej kwestii).*

*Ale pod koniec lat sześćdziesiątych liberalizm się zmienił, przesunął ostro na lewo i częścią swojej agendy uczynił najpierw rewolucję seksualną. Włączywszy do swego credo aborcję, homoseksualizm i radykalny feminizm, opowiedział się przeciw etosowi Zachodu i przeto musiał rozpocząć zajadły atak na Kościół katolicki, który jest matką i obrońcą tego etosu. [...] I tak to „New York Times” staje dziś na pozycjach, za które kiedyś krytykował prasę sowiecką.*

Nie dziwi, że w takim świecie kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, Al Gore, podobnie jak jego już nieżyjący ojciec (kiedyś także senator), mógł przez długie lata być opłacany przez słynnego bogacza i właściciela kompanii naftowej, Armanda Hammera, który -- póki żył -- żywił prokomunistyczne sympatie i był przyjacielem Stalina. To Hammer współfinansował polityczną karierę młodszego Gore'a i przez lata kompania Hammera wypłacała politykowi pensję (ponad 30 000 dolarów rocznie, również po śmierci właściciela; pisał o tym np. jeden z najbardziej znanych komentatorów konserwatywnych, Robert Novak). Co już właściwie zabawne, Gore zaczął swoją kampanię prezydencką od oskarżeń Busha Juniora o powiązania z... wielkim biznesem naftowym.

Śmiech też ogarniał człowieka, gdy czytał żale szefa kampanii prezydenckiej Gore'a, Williama Daleya, na niesprawiedliwy wynik głosowania na Florydzie. Tam na pewno nie było żadnego fałszowania wyników, podczas gdy ojciec Williama, Richard Daley, wsławił się zdobyciem w roku 1960 stanu Illinois dla Johna Kennedy'ego dzięki wpisaniu zmarłych na listy głosujących i oddanie za nich głosów.

Ale śmiech znika znowu z warg, gdy dowiadujemy się, iż w zeszłym roku Gore w tajemnicy przed Kongresem, a zatem łamiąc prawo, wyłączył Rosję z konieczności poniesienia sankcji ekonomicznych za sprzedawanie broni Iranowi. I zamienia się śmiech w uczucie niesmaku, gdy czytamy, że ustępujący prezydent w ostatniej chwili urzędowania ważył się między innymi na akty ułaskawienia następujących osób: dawnej współpracownicy z firmy prawniczej w Arkanzasie (która wolała więzienie niż zeznawanie w sprawie tzw. afery Whitewater, w którą mieli być zamieszani Clintonowie), multimilionera, który obdarował Partię Demokratyczną setkami tysięcy dolarów (i nie zapomniał o niedawnej kampanii wyborczej pani Clinton, na którą co prawda wyłożył zaledwie kilka tysięcy dolarów) oraz brata zamieszanego w handel kokainą.

Dokąd zmierzasz człowieku – pozbawiony wstydu polityku czy dziennikarzu i zrezygnowany obywatelu?

<sup>1</sup> Jefferson był wśród Ojców Założycieli najbardziej elokwentnym przeciwnikiem (w okresie późniejszym, gdy ten zmienił poglądy, obok Madisona) scentralizowanego państwa amerykańskiego.

<sup>2</sup> W sprawie tej, 22 stycznia 1973 r. Sąd Najwyższy orzekł, że władze stanowe nie mają prawa ingerowania w prawo kobiety do aborcji w ciągu pierwszych trzech miesięcy ciąży, mogą ograniczyć to prawo, ale nie mogą zabronić aborcji, w ciągu następnego trymestru oraz mogą ograniczyć prawo, a nawet zabronić aborcji, w ostatnim trymestrze. W ten sposób obalone zostały antyaborcyjne prawa w 46 stanach USA oraz – jak się potem okazało -- otwarta została droga do praktycznie niczym nie ograniczonej aborcji.

<sup>3</sup> W oparciu o dokumenty Sądu Najwyższego, w tym przytoczony przez sędziego Thomasa opis medyczny, procedurę należy przedstawić następująco (mniej drastyczny opis nie jest możliwy): po spowodowaniu rozwarcia szyjki macicy lekarz chwytając stopę płodu i odpowiednio postępując wyciąga płód nogami do przodu z macicy; jeżeli szyjka jest rozwarta we właściwym stopniu, głowa płodu nie może się przez nią przedostać i pozostaje w macicy; dolne części ciała płodu są na zewnątrz ciała matki; lekarz wprowadza do wnętrza organów matki nożyce Metzenbauma, posuwa się wzdłuż kręgosłupa płodu i gdy nożyce docierają do podstawy czaszki,

---

wbija je w czaszkę oraz rozwiera by powiększyć otwór; to pozwala wprowadzić następnie do czaszki aparat wyciągający z niej jej zawartość; czaszka ulega zgnieceniu i lekarz wyciąga cały martwy już płód na zewnątrz; może się zdarzyć, że szyjka zostanie nadmiernie rozwarta – wówczas płód należy przytrzymać w pozycji jak wyżej i przeprowadzić resztę procedury bez zmian (rzecz w tym, by dziecka nie zabić poza organizmem matki).

<sup>4</sup> Tak orzekła większościowa piątka w sprawie Planned Parenthood przeciwko Casey w roku 1992 (pierwsza strona sporu to potężna organizacja proaborcyjna, druga to wówczas gubernator Pensylwanii, który chciał ograniczyć w swoim stanie możliwość dokonywania późnych aborcji).

<sup>5</sup> Jak inaczej nazwać przejmowanie się szczególną drastycznością jednego zabiegu, by pozwolić na inny, w którym wprawdzie nie dochodzi do częściowego porodu, natomiast dziecko zostaje rozerwane na części w macicy matki, części wyciąga się po kolei, dziecko najczęściej umiera z upływem krwi, towarzyszącego rozrywaniu, po czym z czaszki wyciąga się jej zawartość i dalej jak poprzednio (metoda Haskella jest po prostu „ulepszeniem” tej właśnie opisaney). Jest to wszystko jak dyskusja nad wyższością cyklonu B nad gazowaniem ludzi samochodowymi spalinami.

<sup>6</sup> Proszę mi wybaczyć, ale wyniki ministerialnego śledztwa umknęły mojej uwadze. (Swoją drogą, kto chce korzystać z pomocy państwa, musi pamiętać, że będzie musiał tańczyć tak jak mu państwo zagra.)

<sup>7</sup> W tym miejscu warto przypomnieć, że wcześniej prasa hitlerowska pomawiała Piusa XII o bycie sprzymierzeńcem... Stalina.